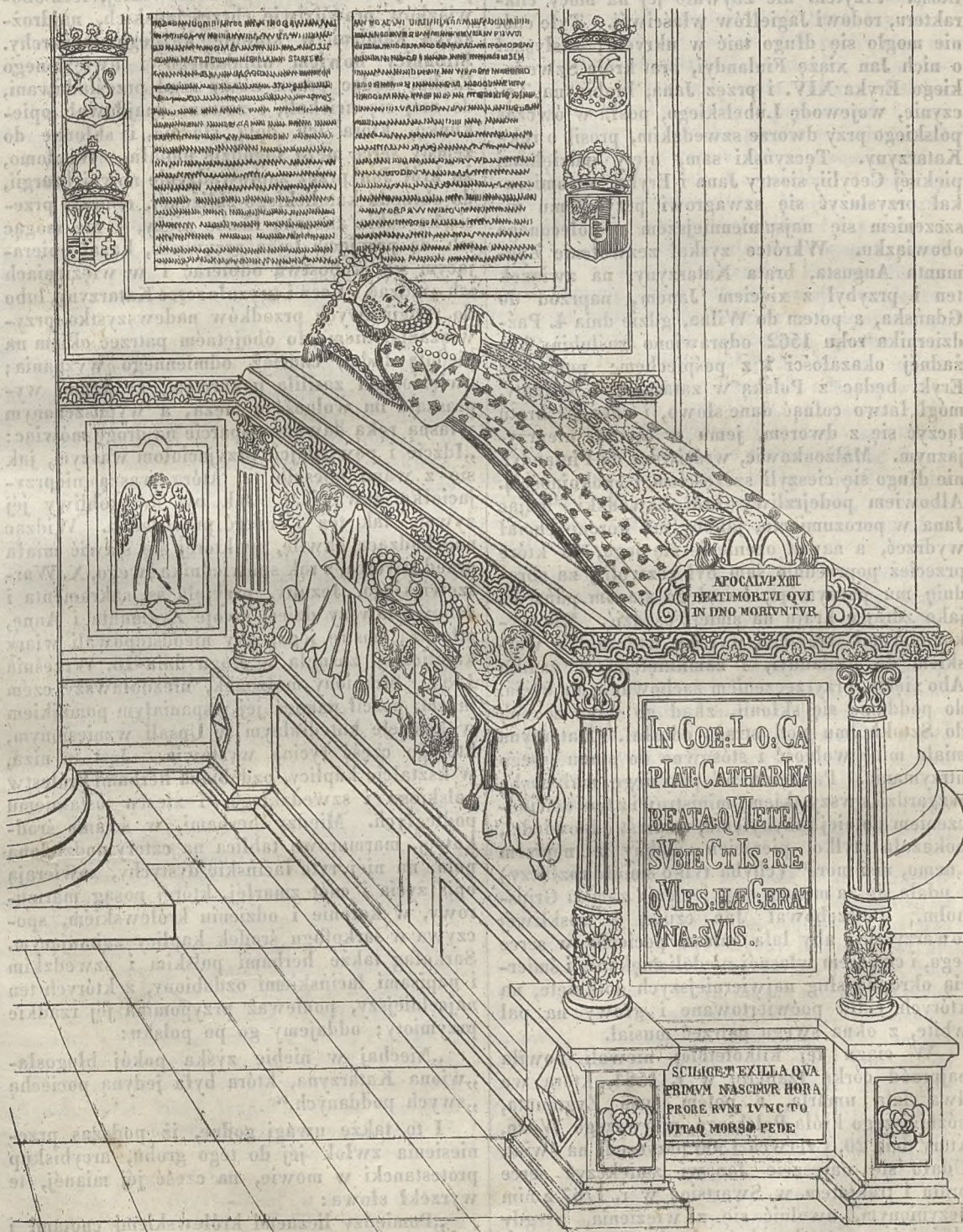


Przyjaciel Ludu.

Rok piąty.

No. 22.

Leszno, dnia 1. Grudnia 1838.



Grób królowej Katarzyny Jagiellonki w kościele katedralnym w Upsali.

Grób królowej Katarzyny Jagiellonki w kościele katedralnym w Upsali.

Katarzyna królowa polska, córka Zygmunta I. i Bony Sforcy: z urodą niepospolitą łączyła prawdziwie anielskie przymioty duszy, dobroć i litość. Przytem nie zbywało jej na mocy charakteru, rodowi Jagiellów właściwej. Tyle cnót nie mogło się długo tać w ukryciu; zasłyszano o nich Jan książę Finlandyi, brat króla Szwedzkiego Eryka XIV. i przez Jana, hrabiego na Tęczynie, wojewodę Lubelskiego, posła w ówczas polskiego przy dworze szwedzkim, prosił o rękę Katarzyny. Tęczyński sam, ujęty wdziękami pięknej Cecylii, siostry Jana i Eryka, nie omisszał przysłużyć się szwagrowi przyszłemu uiszczeniem się najsumienniejszym z poleconego obowiązku. Wkrótce zyskał zezwolenie Zygmunta Augusta, brata Katarzyny, na związek ten i przybył z xięciem Janem, naprzód do Gdańska, a potem do Wilna, gdzie dnia 4. Października roku 1562 odprawiono zaślubiny bez żadnej okazałości i z pośpiechem; ponieważ Eryk, będąc z Polską w zatargach o Inflanty, mógł łatwo cofnąć dane słowo, i zakazać bratu łączyć się z dworem, jemu w ówczas nieprzyjaznym. Małżonkowie, wróciwszy do Finlandyi, nie długo się cieszyli szczęściem i spokojnością. Albowiem podejrzliwy król Szwedzki, mając Jana w porozumieniu, jakoby mu koronę chciał wydrzeć, a nawet ożenienie się jego, na które przecież poprzednio sam był zezwolił, za zbrodnię mu poczytując, kazał go stanom państwa jako zdrajcę kraju na śmierć osądzić. Dla wykonania tak srogiego wyroku wtargnął z wojskiem do Finlandyi, i zamkniętego w zamku Abo xięcia, przyrzeczeniem zachowania mu życia, do poddania się skłonił, zkąd go wraz z żoną do Sztokholmu pod strażą odesłał. Katarzyna miała mieć wolność i stósowne do stanu swego utrzymanie. Pamiętna na przysięgę małżeńską wzgardziła wszystkim; ministrowi z tem oświadczeniem do niej przybyłemu, zamiast odpowiedzi, pokazała tylko pierścień ślubny z napisem „nemo, nisi mors“ (chyba tylko śmierć rozłączy) i udała się za mężem do więzienia zamku Gripsholm. Potrzebował Jan czulej i troskliwej towarzyszki, aby lała balsam pociechy w serce jego, i ciężarem własnej niedoli znękanie, i śmiercią okropną sług najwierniejszych dotkniętą, na których ciała poćwiertowane i głowy na pal white, z okna swego patrzeć musiał.

W ciągu tej kilkoletniej niewoli powiła najprzód córkę Izabellę w r. 1564, która we dwa lata umarła, a potem syna Zygmunta, późniejszego króla Polskiego, pierwszego Wazę, który dnia 20. Czerwca 1566 przyszedł na świat. Udało się nareszcie Janowi zmiekczyć serce brata i traktatem w Swartsioe w r. 1767 z nim uczynionym, uwolnić się z więzienia, a gdy okrucieństwa Eryka, których się nad najznac-

niejszymi obywatelami państwa dopuszczał, były dostatecznym dowodem jego obłąkania zmysłów, za zezwoleniem stanów, po nim koronę objął. Widzimy teraz Katarzynę z dobrowolnego więzienia wstępującą na świetny tron Wazów, który do końca życia zdołała, nie wykonywaniem przykrój niekiedy władzy królewskiej, lecz obowiązów prawdziwie chrześciańskich, najdroższych kamieni w koronie każdego monarchy. Stronnicy bowiem obłąkanego i uwięzionego Eryka, będąc przez nowy rząd prześladowani, do niej się uciekali, i zawsze znajdowali opiekunkę, która ich dola słodzić i skłonne do zemsty serce męża łagodzić umiała. Wiadomo, że król Jan przez zaprowadzenie nowej liturgii, do obrzędu katolickiego zbliżonej, oburzył przeciwko sobie znaczną liczbę xięzy, i nie mogąc ich do przyjęcia tejże przywieść, kazał opierającym się probostwa odbierać i w więzieniach ich osadzać. Lecz i tu czułe serce Katarzyny, lubo do religii swych przodków nadewszystko przywiązanej, niemogło obojętnym patrzeć okiem na niedolę ludzi, chociaż odmiennego wyznania; uwięzionych zasilila pokarmem, ze łzami wypraszała im wolność u męża, a wypuszczonym własną ręką dawała wsparcie na drogę mówiąc: „Idźcie i powiadajcie przyjaciołom waszym, jak się z wami obeszła ta, którą waszą nieprzyjaciółką zowiecie.“ Jak był światobliwy jej żywot, tak też i śmierć przykładna. Widząc nadchodzącą chwilę, w której się stawić miała przed stwórcą, z rąk spowiednika swego, X. Warszawickiego, Jezuitę, przyjęła ss. sakramenta i zobowiąawszy dzieci swoje Zygmunta i Annę, młodszą siostrę jego, aby nieodstępowali wiary katolickiej, zasnęła w Bogu dnia 16. Września 1583. Strapiony małżonek, niezdolawszy czem innem, uczcił pamięć jej wspaniałym pomnikiem w kościele katedralnym w Upsali wzniesionym, którego część rycina wystawia. Jest to niza, w kształcie kaplicy, ozdobiona herbami królestw polskiego i szwedzkiego, i xięstw ostatniemu podległych. Między herbami, w ścianie środkowej, marmurowa tablica na cztery podzielona pola, na niej ryte łacińskie dystychy, zawierają opis życia i cnót zmarłej, której posąg marmurowy, w koronie i odzieniu królewskim, spoczywa w sarkofagu środek kaplicy zajmującym. Sarkofag także herbami polskim i szwedzkim i napisami łacińskimi ozdobiony, z których ten najcelniejszy, ponieważ przypomina jej rzadkie przymioty; oddajemy go po polsku:

„Niechaj w niebie zyska pokój błogosławiona Katarzyna, która była jedyną pociechą „swych poddanych.“

I to także uwagi godne, iż podczas przeniesienia zwłok jej do tego grobu, arcybiskup protestancki w mowie, na cześć jej mianej, te wyrzekł słowa:

„Pomiędzy licznymi królewskimi cnotami i „ta niepoślednie trzyma miejsce, iż w religii

„rzymsko - katolickiej, w wierze Jagiellonów, „swych potężnych przodków, oprócz której nie- „masz zbawienia, stale aż do zgonu wytrwała.“

X. Michał Karpowicz.

Ten, który cały dla dobra ludzi i kraju żył, godzin, aby imię jego z wdzięcznością i uwielbieniem wspomniane było w piśmie naszym. Takim jest X. Michał Karpowicz, biskup Wigierski, którego prace w społeczności, posługi w kościele chrystusowym, dzieła w uczonym świecie, nieśmiertelnym uczyniły.

Urodził się Karpowicz w województwie Brzeskiem r. 1744, gdzie także odbywszy pierwsiastkową edukacją w szkołach XX. Jezuitów, udał się w 17ym roku do zgromadzenia XX. misyonarzy w Warszawie, aby dalszém ćwiczeniem nadzwyczajne umysłu przymioty rozwijał. Ledwie 22 lat ukończył, gdy publicznie u Ś. Krzyża zaczął, z pożytkiem i zadziwieniem słuchających. Wezwany do opowiadania nauki chrystusowej u Ś. Jana, gorliwemi kazaniami zajmował wszystkich, tak dalece, iż kazania te za staraniem biskupa Warszawskiego, Andrzeja Młodziejowskiego, na widok publiczny wydane zostały. Z Warszawy do Krakowa przeniesiony X. Karpowicz, na uczenie teologii i na opowiadanie wiernym słowa Bożego, wkrótce i tutaj potrafił sobie zjednać wszystkich serca i szacunek. Tam go poznał prałat Ostrowski, właśnie naówczas z wyborem xiąg z Rzymu przybyły; a spostrzegłszy w Karpowiczu niepospolity geniusz i talenta, wielką mu część z przyniesionych xiążek darował, innych do czytania udzielił. Te on wszystkie w krótkim czasie przeczytał, strawił, i przy szczęśliwej pamięci, niezmierną rzeczy wiadomością umysł swój zбогаcił.

Z takim wiadomości i nauk skarbem ujrzało go wśród siebie miasto Wilno: chciała Opatrzność, aby trzy państwa niegdyś polskiego stolicy, najpierw z światła jego korzystały i imię Karpowicza sławiły. Dawał on w seminarium wileńskim historią kościelną, lat kilka, i po pierwszym zaraz roku wyszła z druku, która z porządku rzeczy, jasności mowy i smaku niezmiernie podobała się wszystkim i zwróciła na autora oczy biskupów i całej światlejszej części narodu. Wykładał także teologią i pismo ś. w akademii wileńskiej przez lat 12, i do tej przyszedł z wymowy swojej wziętości, iż żaden trybunał, żaden zjazd krajowy, żadna pamiętna epoka narodu, niebyły dosyć świetnemi, jeśli ich Karpowicz dobitną i przyjemną wymową nie uzacnił i nie przyozdobił.

Proboszcz w Grużyskach, a potem w Prenach, znał owieczki swoje, udzielał im zdrowego duszy pokarmu, w naukach swoich parafialnych;

ratował w potrzebie, cieszył w niedoli, kochany od wszystkich, jako troskliwy pasterz i gorliwy obrońca należytości i swobód ludu wiejskiego. Kazania Karpowicza, prócz wpajania w serca słuchaczy miłości cnoty, religii, czystej moralności, uszanowania dla praw boskich i ludzkich, są zawsze stosowane do potrzeb ludu i kraju. Poważał go wielce dlatego król Stanisław August, i tę mu między innemi dał pochwałę, iż tchnął duchem prawdziwej moralności, że w takim gatunku kazań nie miała jeszcze Polska kaznodziei, któryby naukę o prywatnych i osobistych każdego człowieka powinnościach, umiał tak jasno i tak użytecznie łączyć z powinnościami obywatelskimi, jak Karpowicz. Jakoż był nieustannie gorliwym o dobro kraju, we wszystkich mowach swoich, kazaniach i czynach, to jedynie miał na celu, zalecał i wpajał; ztąd poszło, iż owa mniej okazała, lecz cnotliwsza częśćka narodu, całą ufność swoją względem ulepszenia zasad rządu, a przez to losu ojczyzny, w nim położyła, i na wszystkich zjazdach publicznych i sejmikach, osobliwie w czasie sejmu konstytucyjnego, zdanie jego było zdaniem wszystkich przytomnych: głos jego, patryotyzm, wymowa, kierowały umysłami i sercem wszystkich, krótko mówiąc: w czasie zbierającej się burzy na zgubę ojczyzny, umiał on być nie tylko nauczycielem cnoty, światłem kościoła, stróżem religii, lecz razem chwałą nauk, wyrocznią obywatelstwa.

Po podziale kraju, gdy wszystkich serca boleść i smutek ogarnęły, cierpiał wiele czuły Karpowicz, i ztąd wpadł w długą i ciężką chorobę; lecz zachowała go jednak Opatrzność na dobro religii i kościoła. Jakoż zjechałszy w r. 1796 w raz z innymi do Gumbina, na oddanie hołdu nowemu panu, miał niespodzianie mowę do zgromadzonych na ten akt obywateli, mowę godną siebie, w której i sławy upadłego narodu nieponiżył, i ministrowi do odebrania przysięgi przybytemu, przypodobać się umiał. Tam, mimo oczekiwania, mianowany został biskupem nowej dyecezyi wigierskiej.

Tu nowe otworzyło się pole prac i trudów dla Karpowicza. Sto czterdzieści kościołów, od 3 dyecezyi oderwanych, potrzebowały pasterza i urzędzenia. Był wyznaczony biskup, lecz nie było katedry, nie było prałatów ku pomocy, nie było seminarium i wielu innych rzeczy. Trzeba było to wszystko na nowo tworzyć, urządzać i stanowić. Obszerna i gruntowna Karpowicza nauka, bacność na stosunek praw nowych do starych, trafność w prowadzeniu interesów, wytrwałość w pracy, potrafiły temu wszystkiemu zaradzić. W przeciągu trzech lat niespełna, załatwiono wszystko. Lecz ogromne, i ciągle te prace, przez niego samego wykonane, osłabiły Karpowicza zdrowie, nadwładziły siły ciała, i zmieniły żywioł umysłu pełną ognia; pracować jednak nieprzestał, bo dobro religii i kościoła



X. Michał Karpowicz.

nał życie swoje przekładał, aż wyniszczony pracami umarł r. 1803, przeżywszy lat 59. Umarł także kościołowi i naukom; żył dosyć sobie, dosyć cnotcie, zasłudze i chwale.

Pisma jego częścią z druku wyszły, częścią w rękopismach pozostałe, a staraniem brata jego rodzonego Józefa Karpowicza zebrane, wyszły w Warszawie u XX. Pijarów r. 1807, w 8 tomach. We wszystkich pismach Karpowicza wymowa jest płynna, mocna i pełna ognia, lubo czasem jest rozwlekły i często się powtarza; moralność jest czysta, ze źródeł niezmaconych czerpana, obowiązki prywatne człowieka i publiczne obywatela, z zapalem wykładane, ludzkość i miłość bliźniego prawdziwa, gorliwie zalecana; słowem miłość cnoty, religii i kraju rodzinnego, żarliwie w każdej okoliczności wpa-

† X.

Kojata.

(Dokończenie.)

Sam Czernuch zdumiał się nad piękną budową. „Doskonały z ciebie cieśla,” mówił do Milana, aleś się musiał piorunem związać tej nocy. Na tém się jednak nie skończy, mój bracie! Mam ją w domu trzydzieści córek. Jutro staną wszystkie przed tobą w rzędzie, a powiesz mi, która z nich najmłodsza Welena. Trzy razy wolno ci każdą obejrzeć. Jeśli zga-

dniesz, to dobrze; jeżeli nie, to się pożegnasz z twoją głową!”

Milan rozsmiał się w duszy, powrócił do swego pokoju i myślał sobie: „Teraz, toś mi się na tęgi koncept wysadził, panie Czernuchu! Jabym nie miał mojej Weleny poznać? ... hm! hm!”

„Któż wie, czybyś ją poznał, bez mojej pomocy?” rzekła szczołka wlatując znowu do pokoju. Jest nas sióstr trzydzieści, a wszystkie sobie podobne, jak dwie krople wody! Lecz słuchaj! Na mojem czole, usiedzie muszka i po tem mnie poznasz. Bywaj zdrow, królewiczu!

Nazajutrz, zawołano Milana; trzydzieści dziewcząt w białych, stało już rzędem ze spuszczonej ku ziemi oczyma. Czernuch siedział na stronie, złośliwie się uśmiechając; a królewicz, przeszedszy raz rząd cały, zbłądł, bo muszki na żadnym czole nie było. Powolniejszym krokiem przeszedł drugi raz i zaczerwienił się, bo muszki na żadnym czole nie było!

Szmer głuchy i ciche śmiechy rozległy się do kół; na tem usiadła małeńka, jak maczek, muszka, w skroni, żywym ogniem płonącej. Co tchu schwycił Milan dziewczę za rękę i zawołał: „To jest Welena, najmłodsza twoja córka!”

„Hm, hm! tu mi jakaś baba brózdzi,” rzekł Czernuch zagniewany, „bo gdzie djabeł, nie może, tam babę posłij! Ale baby mają

długie włosy, a krótki rozum! Złapię ja ciebie, ptaszku, poczekaj! Za trzy godziny staniesz znowu przedemną; wtedy zapalę słomkę; a pierwój nim się do końca dotli, masz uszyć parę botów. Jeżeli je uszyjesz, to ci powiem: „tegi szewc z ciebie!“ a jak nie, to się inaczey rozmowiemy!“

Powróciwszy do swego pokoju, chodził Milan szerokim krokiem i marszczył czoło, aż mu się brwi ze sobą stykały.

„Ja syn królewski, mam boty szyć!... Nie, nigdy! nigdy tak rodu mego nie splamię!“ Kiedy to Milan do siebie przemawiał, wleciała piękna Welena przez okno: „„Więc cóż myślisz robić?““ zapytała go z niespokojnością.

„Umrzeć wolę, z ręki tego łotra; a szyć botów nie będę!“ „Nie, mój miły, ty umrzeć nie możesz, bo i ja bym wtedy umarła,“ rzekła Welena. „Albo więc przełam twój upór, albo się ratuj ucieczką!“

To mówiąc pluła na okno, a ślina przymarzała do szyby. Poczem wyprowadziła Milana z pokoju, zatrzaśła drzwi na rygle, i przybywszy na miejsce, kędy się w ziemię zapadli, wyrzekła: hop! hop! i znów przed nimi było przestronne jezioro z kwicistemi brzegami, na których pał się jeszcze cisak królewicza. Ledwo zoczył pana swego, zarżał radośnie, przykleknął do wsiadania i wnet popędził z Milanem i Weloną na wyskok.

Tymczasem Czernuch czeka i czeka na królewicza, a jego jak niemasz, tak niemasz! Wyseła tedy swych dworzan po niego. Dworzanie przybywszy do drzwi zamkniętych, pukają; a ślina przymarznięta do szyby odpowiada: „zaraz przyjdę!“

Tę odpowiedź przynoszą Czernuchowi, który czeka na nowo i wyseła powtórnie służących. Powtórnie odpowiada ślina pukającym: „zaraz przyjdę!“

Rozgniewany tém do żywego Czarnoksiężnik, wrzasnął: „Czy on mnie myśli na dudka wystrychnąć! Wyłamcie drzwi, i tu mi go przywleczcie!“

W mgnieniu oka wyleciały drzwi podważone, a ślina w głos się rozśmiała. Czernuch o ledwie nie pękł ze złości, postrzegłszy prózną komnatę i wydał rozkazy do pogoni.

Cały rejment złych duchów rozbiegł się wszystkiemi drogami. Wtedy szepnęła Welena na ucho Milanowi: „Słyszę ja zdała tentent konskich kopyt!“

Milan zeskokczył z konia, przyłożył ucho do ziemi i rzekł: „Prawda! gonią nas, gonią i są tuż za nami!“

Welena pomrukawszy kilka słów tajemniczych, zmieniła się natenczas w rzekę. Milana zamieniła w most żelazny, a konia w kruka.

Gdy pogoń dotarła do mostu, stanęła nagle jak wryta, bo dalej tropu nie było; a za mostem trzy drogi, na trzy się strony krzyżują.

Co tu począć? Trudna rada, trzeba z niczem powrócić!

Czernuch wołał już z daleka do powracających: „Połglówki! oszukano was; ten most i owa rzeka, to byli oni sami; dalej za niemi na nowo; albo was ukamienować każę!“ W tej samėj chwili szepnęła piękna Welena Milanowi: „Słyszę tętent konskich kopyt!“ Milan zeskokczył z konia, przyłożył ucho do ziemi i rzekł: „Gonią nas i są tuż za nami!“

Bez zwłoki więc zamieniła Welena siebie, Milana i konia w gęstą i ponurą knieję, z tyśiącem krętych ściezek. W niej zdało się ścigającym, jak gdyby przed sobą widzieli dwóch jeźdźców; a goniąc za niemi, tak się zbłąkali w bezdrożach, że powrócili na miejsce, kędy się schodzi do podziemnych krain Czernucha. Wtedy dopiero knieja, ścieżki i jeźdźcy jak sen przed nimi zniknęli.

Sam Czernuch wsiadł tedy na swego karoza, a Welena szepnęła znowu drżącym głosem: „Biada nam! Czernuch, mój ojciec, nas goni! Ale przy pierwszym kościele kończy się jego władza i potęga. Podaj więc krzyż twój Milanie!“

Posłuszny królewicz, oddał swój złoty krzyż, którego mu matka królowa na piersi zawiesiła. Ledwo go ręką dotknęła Welena, zamieniła siebie w klasztor, Milana w mnicha, a cisaka w dzwonnice.

Szczęściem, że się pospieszyła; bo już Czernuch stał przed klasztorem. „Czy nie widziałeś tu ojciec! dwóch jeźdźców uciekających?“ zapytał się mnicha.

„Właśnie,“ odpowiedział zapytany, „wyruszył od nas z popasu królewicz Milan i piękna Welena i kazali cię uprzejmie pozdrowić!“

„Niech sobie jadą na złamanie karku!“ wrzasnął Czernuch zsiąty od gniewu, powrócił z kwitkiem do domu i dostał ze zmartwienia żółtaczkę.

Milan zaś i piękna Welena zdążyli bezpiecznie do stołecznego miasta króla Kojaty, który im wkrótce sute wyprawił wesele. Zaproszono na nie wielu znacznych gości, między innymi mnie także. Bawiliśmy się wszyscy wybornie; piwa, miodu, wina było do zbytku, a jednak nikt nie lał za kołnierz!

Obrazy z przeszłości.

Tanka.

(Powieść góralska.)

O gdybyśmy umieli własne dzieje czytać,
I każdą garść tej ziemi o przeszłość zapytać:
Ach, z jakążby miłością rzekła nam o sobie,
I o życiu pradiadów i pradiadów grobie!...

Nad miasteczkiem Liskiem leżącym w województwie ruskim, ziemi sanockiej, wznosi się kamień ogromny dziwaczego kształtu, zwany

Kustryniem. W tej okolicy, gdzie wszystkie góry, lasem lub ornemi obszarami są pokryte, sprawia widok nagiego kamienia, niespodziewane wrażenie; jakoż okazało to się i u ludu, bo podanie miejscowe, połączyło z Kustryniem, różne, dziwaczne powieści. Pod Kustryniem ciągnie się bity gościniec i odsłaniając w biegu swoim, po jednej i po drugiej stronie rozległe widoki, spuszcza się zwolna do Ucherec, wioski, niegdys, jak całe to dobra uchereckie, należące do rodziny Mniszchów, a pamiętną mieszkaniem Maryny Mniszchownej i Dymitra Samozwańca. Ucherce, leżą częścią w równinie stykającej się z równiną Sanową, częścią są oparte o pasmo gór, które ciągnąc się ku wschodowi, tutaj swój początek bierze, przestrzeń mil kilku zalega, a zwane jest *Zukowem*. Jałowy Zuków miał być przed laty cały lasem pokryty i wtenczas piękny musiał mieć pozór, dzisiaj wykarczowany prawie do szczętu, tu i ówdzie tylko jeszcze obrosły, świeci gliniastymi wyrwami i nagimi stoki, od południa i północy stromo z potoki spadającemi. Na grzbiecie Zukowa, przypada linia, która biorąc się na Leszczowate, po za Wisznic Sądową, Lwów i Winnickie góry ku Wołyniowi, jest działem wód z jednej strony w czarne, a z drugiej w bałtyckie morze płynących. To pasmo gór ciągnie się od Ucherec, po nad Olszanicą, Stefkową, Ustianową, Równią, Hoszów i Raby, a kończy się we wsi Zołobku, która z podobieństwa do żłobu tę nazwę nosi i z lasami Łumniańskiego starostwa granicząc, jest zarazem jedną z granicznych wiosek ziemi Sanockiej. — W tamtej to stronie będąc, dla zwiedzenia pobojowiska w Hoszowie, gdzie Franciszek Puławski był rannym, poznałem starego bardzo człowieka z Rab sąsiednich, który podług powszechnego zdania, nie miał już sobie rówiennika, w całym państwie Hoszowskiem. Jak sam mówił, miał już przeszło sto lat, przygluchy trochę, lecz jeszcze bardzo przytomny, rzeźwy i pewnego spojrzenia. Opowiadał on nam o różnych pamiętnych zdarzeniach, których naocznym był świadkiem z wielką dokładnością, a rozochociwszy się, mówił, o losach swojej już dawno pomarłej rodziny i o nieszczęściach wioski. Kiedyśmy Cerkiew mijali, wskazał na jesion około niej stojący; niegdys ogromnem drzewem być musiał, jak po grubości jego sądzić można było, dziś pozostała z pnia samego tylko jedna połowa kory, która na parę sążni wysokości się wznosząc, kilka u góry zielonych ma gałązek. Wskazał na drzewo i rzekł:

„Widzicie to drzewo? oj nie darmo ono tak zmarniało, bo to kiedy Tatarzy siola palili, podciął go był Tatar, otóż i wyboleło z tej strony. Bo to już taka twardo zatruta wiara w tych Tatarach, że się nie tylko człowiek nie obaczy, gdy go skaleczą, ale nawet i drzewinie szkodzi. Miałem ja babę, co w mojej chyży (chacie) umarła, ona to wiele bywała gadała mi o tych

Tatarach, bo była u nich w niewoli; dawno jej to się już zmarło, będzie może lat 50 temu albo i więcej, a ja to już takiego rodu, co długo żyją. Otóż ona powiadała, że tutaj na górze stał zamek w Hoszowie, a i ja go jeszcze zapamiętam. Tamto bywało, chowali się ludzie za wojen, albo też po lesiech. Zamek był setny, a przed górką, był most na łańcuchu i po dziś dzień, są tam jeszcze piwnice. Było to jakoś z południa i bydło pędzono w pole, aż tu od Ustrzyk wpadli Tatarzy! Strach Boży! Pan zamknął się w zamku i bił na nich, ale ludzie byli w polu przy robocie; otóż nie zdołali uciec, ani bydła w lasy pozaganiać. Zamku nie dobyli Tatarzy i dopiero za konfederacyi zgorzał; ale z Hoszowa i Rabego, tylko trzy chyże zostały. Na popiół wszystko spalili i zjedli, Cerkiew zrabowali, dobytek i ludzie a już najbardziej białą czeladź, garnęli łakomo i gnali w Tatarszczyznę. Był tu wtenczas w Rabym xiądz Michał, otóż i jego w jasyr zabrali. Jak to się lud opamiętał, pognali za niemi z panem wojewodą, i jak gęsta poparła ręka, odbili coś dobytku, narodu i xiędza Michała. Ale moja baba Tanka i jeszcze druga dziewczka z Rabego Marynka, były już gdzieś na przedzie, otóż je nie odbito, a moja baba była naówczas, jak na to po pierwszym dziecięciu, a niby po ojcu moim. Pognali nieboga! ale im wielkiej krzywdy nie robili, tylko, że im mięso surowe jeść kazali. Otóż obie myślały, że to na to je niewolą do takiego jadła, aby potem zarznąć i zjeść, i tego też się najwięcej bały. — Kiedy tam już w tatarskim kraju stanęły, otóż Tanka była w jednej, a Marynka w drugiej chyży, i zabroniono im było widywać się z sobą, i modlić się nie kazali. Trzy lata były w tej niewoli; przędły i bawiły dzieci. Aż tu się raz mojej babie przysniło, że była w Rabach w Cerkwi na odprawie z dzieckiem, a w tym wpadli Tatarzy, porwali jej dziecko i rznęli go nożem, aż krew na nią pluskała. Otóż tak poczęła przez sen zawodzić, że się aż Tatarzy ze snu pobudzili i ją opamiętali. Potuliła żal swój nieco, widząc, że to sen, i mówiła o nim nazajutrz Marynie. „Dobrze to wróży ten sen,“ mówiła Marynka, „dobrze z tym, że krew na ciebie pluskała, bo Bóg wybawi nas z tej niewoli i krew twoja do ciebie się rzuci.“ Ale Tanka nie wierzyła temu i od tego już czasu taka ją nuda trapiła, że nie mogła się ostać od żalu za dzieckiem. Już jej się nie brało, ni to jedzenie, ni spanie; jak poczęła sobie nudzić, jak poczęła boleć, to tak za miesiąc zmarniała, jakby ją trzy lata ciotka (febra) trzęsła. Strach! aż się sami Tatarzy dziwili. „Ej uciekajmy, na Boga!“ mówiła nie raz do Marynki. Ale Marynka bała się bardzo: „a nuż dopędzą? a nuż dopędzą i zarzną?“ — „Ej odwazmy się! niechaj nas już i zarzną, tu to i tak czarna nasza dola!“ tam to nieraz jedna nieboga nad drugą, gorzkimi płakała łzami. Nie raz baba moja

mawiała do mego ojca: „We łzach tych, com ja po tobie wylała, skapaćbym się mogła.“ W końcu tedy zbuntowały się, a to tak: żeby Marynka złudziła nadrożne, a jak Tańka kiedy do niej w nocy zapuka, to ona wyjdzie, i już, co będzie to będzie, a będą obie uciekały. Aż tu jak na to, były jakieś święta tatarskie, otóż się wszystkie Tatary gdzieś daleko do bóżnicy zabrali, a Tańka została sama z jednym tylko tatarskim dziewczęciem, któremu może z dziewięć lat było. Jeno że jęj Tatarzy kazali jeść nawarzyć i chleba napiec, za nim powrócą, a wrócić mieli za trzy dni. Otóż Tańka napaliła w piecu, a cudowne to jakieś mają być piece w tym tatarskim kraju, bo to równo z ziemią czeluście, a piec taki, że choć jałówkę wprowadzaj do niego.

Baba moja zakrzętała się około pieczywa, a dziewczęce tatarskie poczęło się pastwić nad babą: nuż pchać patyki do oczu, do nosa, nuż siadać na głowę i jeździć na babie, a potem kazała się wozić po stole w małym wozku, co był dla dzieci. Otóż dopiekała do żywego, więc moja baba rozmachawszy wózek, nuż z dziewczęciem do pieca, w ogień, i zamknęła piec, a tylko zaskwirczało! Wtenczas porwała co żywo węzełek i tatarski nóż, wybiegła przed chyzą, aż tu się obłęd do niej przyplątał, pociemniało w oczach. „A cóż ja zrobiła? biednaż moja głowa! gdzie tu uciekać?“ przed nią leżał step goły, ani go przebiec, ni się w nim uchować! Aż tu ją myśl naszała, ot i dobrze szła. Opodał od chyży były leże na stepie, gdzie stado tatarskie czasami stawało; tamto pasły się zazwyczaj stare kłacz, co już mogły iść za stadem. Otóż pobiegła tam i przebiła jedną kłacz nożem, rozpruła ją, odniosła na stronę wewnętrzną, żeby się ptastwo nie zlatywało i jęj nie zdradziło, a sama wlaźła w kadtub kłacz. Nic otem nie wiedziała Marynka. Pod wieczór przyjechali Tatary, patrzą: gdzie Tańka? ha, nie ma! Myśleli więc sobie, że poszła z dziewczęciem do Marynki w odwiedzin, i dalej do jądra, wyciągają żer z pieca, ba węgiel! Aż tu patrzy mać tatarska i poznała pierścień dziewczęcia. Nuż w lament! a Tatary na koń i w stepy za babą, a baba w kobyłę. A Tatarki wpadły do Marynki, nuż mordować dziewczkę. Gadaj, gdzie Tańka? ty wiesz! gadaj, bo zabijem! i setnie ją bili. Ale Marynka nic nie powiedziała, bo nic nie wiedziała. Dnia drugiego jadą Tatary, a baba moja słucha na leżach, ale Tatary jechali zwolna i smutno, bardzo frasowni, że nie dostali baby. Kiedy już w najlepsze usneli, podniosła się Tańka i przyszła do okna, pod którym Marynka leżała i puk, puk, w okno! Zerwała się Marynka, wzięła co mogła i dalej! Oj tam to, kto cudu nie doznał, posłuchać je było, jak bywało o tём prawili. Bo to Tańkę brali Tatary w niewolę, pobiegła za nią psinka, co ją „Sorą“ zwali, i

zaszła z nią, aż do tatarskiego kraju. Miło to było jęj, spojrzeć czasem, że przecież jakieś stworzenie boże od swojej strony z nią razem było. Na przyspie legała sobie zawsze ta Sora. Co Tańka nie raz ją wołała za sobą, kiedy ją gdzie Tatarzy posefali, co ją nie raz nawabiała do chyży, to ani daj Bóże! zawsze Sora bywało ogon pod siebie i w nogi, a jak Tatar jaki bywało koło niej przechodził, to psina i Wyr! Wyr! a teraz, kiedy Tańka przyszła pod okno Marynki i zapukała: przy-leciała też i Sora i straszno zawyla na wiatr i hajże przodem! Oj nigdyby dwie niewieście nie warte wyjść z tatarskiego kraju, gdyby nie ta Sora! Co polecą bywało przodem wietrzac, że jęj już widać nie było, to znowu wraca potem, i patrzy za niemi; jak przyszła noc, to opodał od niewiast legała, a ze świtem ku swojej stronie ciągnęła. Otóż, jak poczęła je tak prowadzić, jak poczęła prowadzić i prowadzić, otóż i wywiodła z Tatarszczyzny. Szły, szły niebogie i niewiedzi, ile to tam świata przeszły, a najciężej im już było, za nim się do kozackiego kraju dobiły, potem puscili się gdzieś aż po kraj Wołoski, a wciąż Sora leciała przodem. Otóż dopiero dwie mile od Rabego, jak już do domu dochodziły, kopnęła się moja Sora przodem, a baba moja mówiła do Marynki: „ot szkoda naszej Sory; znać wściekła się!“ a ona tymczasem leciała, wpadła do wsi, dalej przez wieś i do naszego obejścia, i nuż wyc po sieni, latać po podworzu. Otóż właśnie jak na to szli ludzie z Cerkwi, bo to się w niedzielę działo, więc poczęli się dziwować i przepowiadali sobie: „hej, hej, Sora jest, a Tańki nie ma!“ aż tu pod wieczór idą ludzie z nieszporu, a tu i Tańka wyszła na wierzch. Wtenczas xiądz Michał, co to także zaznał tatarskiej niewoli, kazał bić we wszystkie dzwony, a co tylko było ludu na plebanii, we wsi i we dworze, wszystko to się zleciało, i chłop Tańki, a mój to niby dziad przybiegł, a za nim przybiegła i Tańczyna dziecina, co ją ludzie we wsi nazwali „Tatarską sierotką“ bo Bóg ją cudem zachował, i była już gładko podrosła. Bo to widziacie, kiedy się ludzie opatrzyli w Rabach, po tój tatarskiej najedzi, znaleźli to dziecię pod gruszką dnia drugiego na obejściu, ale do niego znać ani Tatar, ani ogień nie doszedł, bo było zdrowe, jedno że bardzo zgłodniałe. Otóż go wzięli panowie do dworu i hodowali za swoje, a ludzie nazwali go „tatarską sierotką.“ Otóż to jak zobaczyli Tańkę a przy niej tatarską sierotkę, poczęli się cieszyć i płakać i modlić pod Cerkwią, i pytać o wszystko. Marynka mówiła: „Wszakżem ci gadała, że Bóg nas z tój biedy „wybawi, i że krew twoja do ciebie się rzuci.“ Ale Tańka nie słuchała tego, jedno przygarnęła dziecię serdecznie do siebie, i upadła na progu przed cerkwią. Marynka też to samo krzyżem leżała. Xiądz Michał pomodliwszy się, prze-

*Lorolna szluga
y szyszta
Isabella*

*Carharmia Regina
Polonia*

Facsimile:

1. Z listu królowej węgierskiej Izabelli, pisanego ze Lwowa dnia 15. Maja 1556, do brata Zygmunta Augusta.

2. Z listu królowej Katarzyny, z Radomia, dn. 1. Października 1565 do Piotra Myszkowskiego Podkanclerza koron.

czytał nad ich głowami ewanjelią świętą i kazał im powstać, ale babę swoją tak to sprężyło, tak zdrewniała, że ją z dziecięciem razem do domu zanieść musieli, bo dziecka nie chciała już puścić od siebie, i nie zaraz ochłonęła z tego żalu. Obie to obie, i baba moja i Marynka, straszny jakiś lek już całe życie miały; nie rozłączały też się z sobą więcej i obie pomarły w nim. Naprzód Marynka a potem Tańka. Otóż to straszne było dziwo, co się przez całe życie z niemi działo. Póki dzień, to jeszcze pół biedy; lecz jak już bywało słońce w nie-szpór poszło, to trzęsło coś niemi i chodziło coś po nich i plakały, i jedna tuliła się do drugiej i jedna bez drugiej nocy nocować nie mogła, a dziwnie coś przepowiadały sobie; tak, że je człek (zachowaj Boże od złego!) ani to zrozumieć, ani to pocieszyć nie mógł. Znać Tatarki czarami za niemi rzuciły, że je już tak, aż do śmierci trapiło. Marynka umarła wprzód, ale moja baba żyła jeszcze długo i do śmierci nam wszystkim, a nawet jeszcze

dzieciom moim przepowiadała: „Dziatki moje, jeżeliby jeszcze kiedy Tatary do was wpadli, to raczej śmierć sobie zrobicie, niż w sobie utopcie, w ogień, w wodę skoczcie, ale nigdy tej krwi swojej pogańskiej wierze w ręce nie oddajcie!“ W. P.

Ja i skowronek.

(W imionniku.)

Ja.

Czemuż z ojczystej ulatasz ziemi,

Skowroneczku, skowroneczku;

Czemuż pieśniami gardzisz naszemi

Kochaneczku, kochaneczku?

Czyż nie lepiej na tym łąnie,

Na tej niwie kwiatem strojąc,

Gdzie potoków dźwięczne granie,

Bratnich pieńi hymn spokojny!

A patrzno, patrzaj, jako tam czarno,

Kędy wiotkami ulatasz piory;

Ciemną ulewą, pioruny skwarną,

Zawrzały falą zsiniałe chmury!

Skowronek.

Cóż mi te pienia, cóż mi te róże:

Nie dla mnie dźwięczą, nie dla mnie kwitną:

Gdzie huczą nieba, kędy wrą burze,

Ztąd wałą błyski w skał pierś granitną;

Tam ma ojczyzna, tam moje żale

Miejszam swobodny z jękiem żywiołów,

A wspólną piosnkę ryczące fale

Grzmia do edenskich mieszkań aniołów;

Aż ją przed tron Zbawiciela,

Rozleję hymnem wesela.

Tutaj próżno szerzyć jęki,

Obce ludziom me piosenki!

Ja.

Lec więc szczęśliwie biedna ptaszyno,

Kędy cię tajne niosą cierpienia,

A gdy tam staniesz nad tą krainą

Zron z twą piosenką i me westchnienia!

Jam jeszcze nucił, i jeszcze

Wyrwane z duszy, za nim gonily

Tęsknej duszy pienia wieszczę,

Jego — już z dawna fale zakryły!

A. B.

Książki z nakładu Franciszka Pillera i Spółki we Lwowie, które sprowadzać można z księgarni Ernesta Günthera w Lesznie:

Polihymnia, czyli Piękności poezyi autorów tegoczesnych, przez J. J. Szczepańskiego. 6 tomów. 8vo, 1828.

Cena: 3 tal., czyli złtp. 18.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie.

(Red. Cicheński.)